

ANALIZY

ZDZISŁAW M. RURARZ

WYBORY 1997 (2)

Pisząc poprzedni odcinek artykułu w dzień po wyborach z 21 września, zapowiadałem następny za 4-5 tygodni, czyli po inauguracyjnym zebraniu się Sejmu nowej kadencji, co istotnie stało się w dniu dzisiejszym, 20 października b.r.

Prawdę mówiąc, pierwotnie miałem zamiar zakończyć artykuł na drugim odcinku, ale dziś nie jestem pewien czy jest to możliwe. Prawdziwy finał wrześniowych wyborów będzie dopiero wtedy, kiedy uformuje się nowy rząd, który w dodatku musi mieć w Sejmie poparcie zwykłej większości posłów, czyli 231 głosów, a coś takiego jest możliwe tylko w przypadku koalicji AWS, 201 głosów, z UW, 60 głosów.

Oczywiście, jest jeszcze możliwa inna koalicja, aczkolwiek w tej chwili nigdzie nie dyskutowana, a konkretnie AWS z PSL, który w Sejmie ma 27 głosów, oraz z ROP, 6 głosów (w chwili pisania niniejszych słów sytuacja w ROP jest niejasna. Organizacja jest faktycznie rozbita i nie jest wykluczone, iż przestanie istnieć) i ewentualnie z mniejszością niemiecką, 2 głosy.

Tak czy inaczej, AWS samodzielnie rządzić nie może, a jedynie w koalicji, najprawdopodobniej tylko z UW.

Co więcej, w dniu 17 października b.r. weszła w życie nowa Konstytucja, która nie-

powiedzi przed kamerami ich uczestników świadczyły niedwuznacznie o trudnym ich przebiegu, jeśli wręcz nie o wzajemnej animozji.

Niemniej jednak, niedoszli koalicjanci, w środę 15 października, porozumieli się co do kandydatury przyszłego premiera, którym został prof. Jerzy Buzek, rzecz znana już nieco wcześniej, ale potwierdzona niemal w ostatniej chwili.

Zgoda co do wspólnego kandydata na premiera nie oznaczała jeszcze zawarcia porozumienia koalicyjnego AWS-UW, które udało się jako tako zaklepać dopiero w dwa dni później, tuż przed piątą popołudniu 17 października.

Piszę o "jakim takim zaklepanu", gdyż tak na dobrą sprawę porozumienie było tylko ustne i w dodatku uwarunkowane przyjęciem go przez kierownicze grona obu potencjalnych koalicjantów.

Ba, porozumienia w obowiązującej formie nie było i w dniu dzisiejszym, 20 października, przed inauguracyjnym posiedzeniem Sejmu. Formalnie, porozumienie jedynie parafowano, ale go nie podpisano. Zarówno Krzaklewski jak i Balcerowicz, co można było zobaczyć w telewizyjnych "Wiadomościach" z Warszawy z tego samego dnia, dokonywali wszelkiej możliwej ekwilibrystyki słownej,

go odcinka w "Dzienniku" sytuacja może się ostatecznie wyjaśnić. W zależności od tego jak potoczą się sprawy uzależniam powrót do tematu "Wybory 1997". Jeśli koalicja istotnie narodzi się i utworzy wspólny rząd, to wydarzenia tego nie będę już komentował, a w każdym razie nie tak zaraz.

Jeśli jednak koalicja nie powstanie, a mniejszościowy rząd nie uzyska aprobaty sejmowej, to do sprawy powrócę, gdyż wtedy na horyzoncie zamajaczą się nowe alternatywy, od koalicji SLD-UW, może nawet z PSL poczynając, a na rozpisaniu nowych wyborów kończąc.

Nie spekulując jednak co będzie dalej, wydarzenia ostatniego miesiąca wymagają komentarza, łącznie z korektą niektórych informacji podanych w poprzednim odcinku artykułu, gdyż w momencie jego pisania były one jeszcze nieznanne w pełni.

Korekty wymaga przede wszystkim informacja dotycząca frekwencji wyborczej, którą wstępnie oszacowano na 59 procent, co nie byłoby tak źle jak na polskie tradycje przedwojenne i ostatniego ośmiolecia.

Niestety, frekwencja nie sięgnęła nawet wypełnych 48-miu procent, co jest fatalną wizytówką młodej demokracji polskiej, zakładając oczywiście, że mamy istotnie do czynienia z prawdziwą demokracją, a nie zabawą w de-

stopada-grudnia 1990 r. miały 60-procentową frekwencję w pierwszej turze i tylko 25-procentową w drugiej turze.

Frekwencja w pierwszych wolnych wyborach samorządowych z 1990 r. wynosiła zaś tylko 42 procent.

Nieco lepiej było z frekwencją w pierwszych i całkowicie wolnych wyborach do Zgromadzenia Narodowego w październiku 1991 r., kiedy to wynosiła ona 43 procent, ale fakt pozostania ponad połowy uprawnionych do głosowania w domu był groźnym ostrzeżeniem, że raczkująca demokracja polska popadła w kryzys.

Wyższą natomiast frekwencję miały przedterminowe wybory do Zgromadzenia Narodowego z września 1993 r., choć też nie za wysoką, gdyż jedynie 53-procentową. Wybory samorządowe z 1994 r. miały dla odmiany 34-procentową frekwencję.

Sytuacja zmieniła się na lepsze, aczkolwiek tylko na krótko, w listopadzie 1995 r., gdzie do prezydenckiego pojedynku wyborczego stanęli Lech Wałęsa i Aleksander Kwaśniewski. W pierwszej turze frekwencja wynosiła 65 procent, a w drugiej nawet 68 procent, co jak dotąd jest rekordem od czasu narodzin III RP/PRL-bis.

Po tym chwilowym zrywem frekwencja u urn w czasie tzw. referendum uwłaszczeniowego w 1996 r. wynosiła już tylko 32 pro-

sytuacja w ROP jest niejasna. Organizacja jest faktycznie rozbita i nie jest wykluczone, iż przestanie istnieć) i ewentualnie z mniejszością niemiecką, 2 głosy.

Tak czy inaczej, AWS samodzielnie rządzić nie może, a jedynie w koalicji, najprawdopodobniej tylko z UW.

Co więcej, w dniu 17 października b.r. weszła w życie nowa Konstytucja, która nieco zmienia postanowienia poprzednich, tzw. Małej Konstytucji z 1992 r., i wielokrotnie nowelizowanej Konstytucji PRL z 1952 r.

W myśl nowej Konstytucji, odmiennie jak to było dotąd, prezydenckie veto może być unieważnione nie dwoma trzecimi głosów w Sejmie, czyli nieco ponad 66,3 procentami głosów, a jedynie 60-cioma procentami.

Sprawa ta jest niezwykle ważna, gdyż obecny prezydent III RP/PRL-bis wywodzi się z SLD i może wetować ustawy przyjmowane większością głosów w Sejmie. Dla unieważnienia prezydenckiego veta potrzebne jest obecnie 276 głosów w Sejmie, mniej niż to było dawniej, ale ciągle jednak dość dużo. Głosów tych AWS z UW nie ma, gdyż łącznie mają ich tylko 261. Potrzebnych głosów do podważenia prezydenckiego veta koalicja AWS-UW nie ma też w przypadku uzyskania poparcia ze strony ROP i mniejszości niemieckiej. Ratunkiem mogą być jedynie głosy PSL, nie wszystkie co prawda, ale nie mniej niż 9-10.

Innymi słowy, nawet w przypadku koalicji AWS-UW rządy jej, choć możliwe, są w znacznym stopniu ułomne, jeśli prezydent poszedłby z nią na konfrontację.

Rządy AWS bez koalicji z UW są natomiast możliwe, ale co najwyżej krótkotrwałe.

Jak jednakże mają się sprawy koalicji AWS-UW?

No cóż, nie wiadomo. Trwające tygodniami negocjacje pomiędzy delegacjami obu tych sił politycznych, a okazjnie uzupełniane spotkaniami "na szczycie" pomiędzy ich przywódcami, Marianem Krzaklewskim i Leszkiem Balcerowiczem, szły jak po przysłowiowej grudzie. Rokowania wzajemnie otoczone były ponadto niezwykle jak na tradycje polskie tajemniczością, a nieliczne wy-

Ba, porozumienia w obowiązującej formie nie było i w dniu dzisiejszym, 20 października, przed inauguracyjnym posiedzeniem Sejmu. Formalnie, porozumienie jedynie parafowano, ale go nie podpisano. Zarówno Krzaklewski jak i Balcerowicz, co można było zobaczyć w telewizyjnych "Wiadomościach" z Warszawy z tego samego dnia, dokonywali wszelkiej możliwej ekwilibrystyki słownej, żeby ani nie potwierdzić, ani nie zaprzeczyć utworzeniu koalicji. Z tego co można było się zorientować wszystko wyjaśni się ostatecznie do piątku, czyli 24 października, kiedy to desygnowany na premiera Jerzy Buzek skompletuje rząd koalicyjny, który następnie przedstawi Sejmowi do zatwierdzenia, jeśli oczywiście upora się z tym zadaniem.

Tak więc, w dniu ukazania się niniejsze-

formacja dotycząca frekwencji wyborczej, którą wstępnie oszacowano na 59 procent, co nie byłoby tak źle jak na polskie tradycje przedwojenne i ostatniego ośmiolecia.

Niestety, frekwencja nie sięgnęła nawet pełnych 48-miu procent, co jest fatalną wizytówką młodej demokracji polskiej, zakładając oczywiście, że mamy istotnie do czynienia z prawdziwą demokracją, a nie zabawą w demokrację.

Powracając do frekwencji wyborczej w ostatnich ponad ośmiu latach, to częściowo wolne wybory do odtwarzanego Zgromadzenia Narodowego z czerwca 1989 r. miały ją w wysokości 62 procent w pierwszej turze, ale już tylko 23 procent w drugiej turze.

Pierwsze z kolei w historii polskiej wolne i powszechne wybory prezydenckie z li-



Marian Krzaklewski na inauguracyjnym posiedzeniu Sejmu

gdzie do prezydenckiego pojedynku wyborczego stanęli Lech Wałęsa i Aleksander Kwaśniewski. W pierwszej turze frekwencja wynosiła 65 procent, a w drugiej nawet 68 procent, co jak dotąd jest rekordem od czasu narodzin III RP/PRL-bis.

Po tym chwilowym zrywie frekwencja u urn w czasie tzw. referendum uwłaszczeniowego w 1996 r. wynosiła już tylko 32 procent, rekordowo niska w tym okresie, ale nie lepiej też było, biorąc pod uwagę wagę wydarzenia, z tzw. referendum konstytucyjnym z 25 maja 1997 r., gdzie tylko 43 procent uprawnionych pofatygowano się do głosowania.

No i wreszcie ostatnia, 48-procentowa frekwencja.

Jaki płynie stąd wniosek? Chyba tylko taki, że ludzie po prostu nie wierzą w żadne prawdziwe wybory w Polsce, a co najwyżej wierzą w głosowanie, jak to było w czasach PRL.

Zgoda, w wielu dojrzałych demokracjach, tam gdzie nie ma obowiązku głosowania, jest też podobnie, ale frekwencja jest mimo wszystko wyższa, a ponadto demokracje te mają już uformowane instytucje państwa obywatelskiego i nawet niska aktywność wyborcza społeczeństwa może być w końcu tolerowana. W Polsce jednakże bierność i apatia są groźnym zjawiskiem, choć w moim przekonaniu całkowicie zrozumiałym. Osobiście sympatyzuję z ludźmi, którzy nie biorą udziału w wyborach w Polsce. Żeby nie wiadomo jak głosowali, to i tak wybiorą "kogo trzeba", nieważne czy z lewa, prawa, czy centrum. Różne "garnitury polityczne" są bowiem na każdą okazję.

A propos, SLD idąc do wyborów w 1993 r. wiele przyrzekała, a potem zapomniała o co najmniej trzech czwartych swoich przyrzeczeń. I mimo to rządzi.

Podobnie teraz zapomni AWS, UW, razem czy osobno, nie mówiąc już o tym, że nikt nie wie czy będą jeszcze rządzić w ogóle, albo jak długo.

Wybory jednakże, jak wszędzie na świecie, są niczym więcej niż bitwą inicjującą wojnę, jeśli tylko całe wydarzenie nie jest jakimś cyrkiem, który tylko bawi i oglupia lu-

ANALIZY

dzi. Prawdziwa wojna zaczyna się dopiero po wyborach. Biorąc polskie wybory na serio, choć osobiście uważam je jedynie za widowisko, to te z września b.r. przejdą do historii jako wielce osobliwe zjawisko.

Z formalnego punktu widzenia bowiem, gdyż w rzeczywistości jest inaczej, na placu boju stała "postkomuna", względnie dobrze zorganizowana i zdyscyplinowana, a nade wszystko dzierżąca przez cztery lata władzę, nie mówiąc o dzierżeniu jej przez dziesiątki lat, jeszcze do niedawna, podczas gdy naprzeciw niej stało pospolite ruszenie "prawicy", albo inaczej "sił narodowo-katolickich", co prawda pośpiesznie zmontowane, ale dość skuteczne w działaniu, jak to pokazały rezultaty wyborów.

I gdyby wszystko było tak jak na to wyglądało, to owo pospolite ruszenie powinno roznieść przeciwnika, choć siedział w twierdzy i był lepiej uzbrojony.

Tak powinno być, ale tak nie było, choć z formalnego punktu widzenia pospolite ruszenie, czyli AWS, do twierdzy wdarło się.

Ale nie uprzedzajmy faktów i idźmy według chronologii wydarzeń.

Przede wszystkim, o czym w ferworze walki wyborczej zapomniano, pospolite ruszenie już raz przecież, co prawda na raty, twierdzę "komuny" zdobyło. Nie tak szturmem, ale przy "okrągłym stole" i drogą zakulisowego paktowania w Magdalence. Obrońcy twierdzy wpuścili do niej "pospolitowców" dobrowolnie i zapewne też podpowiedzieli im jak mają zachowywać się w niej, gdyż inaczej mogą być kłopoty...

"Zwycięzcy", o czym też należy przypomnieć, obrysowali pokonanych "grubą kreską" i w te pędy, zgodnie z suflerowanymi instrukcjami, wzięli się za bary sami ze sobą. W ruch poszły "wojny na górze", "siekiery", "kopanie w zadek", nie mówiąc już o wzajemnie szafowanych epitetach, w rezultacie czego szef "Solidarności" wykończył solidarnościowego premiera, a potem jeszcze, już jako prezydent, wykończył jeszcze dwóch in-

Marian Krzaklewski, prowadząc pospolite ruszenie do natarcia, już na wstępie oświadczył, że stanowisko premiera go nie interesuje.

Jak to, mobilizuje siły, prowadzi je do boju, twierdzę zdobywa, a potem nie chce brać władzy? Kierujący obroną twierdzy premier Włodzimierz Cimoszewicz nie robił tajemnicy z tego, że na wypadek odparcia ataku pozostanie na swoim dotychczasowym stanowisku, co było zresztą logicznym podejściem do sprawy

Dlaczego zatem zwycięski Krzaklewski nie przyjął tej samej postawy? Elektorat AWS miałby mu to tylko za dobre, a nie za złe!

Co do mnie, to nie mam wątpliwości, że Krzaklewskiemu ktoś kazał tak właśnie postępować, a on posłusznie wykonał dane mu polecenie.

Zresztą, choć sam w pierwszym odcinku napisałem, że Krzaklewski był jeszcze niedawno zapewne najpopularniejszą osobą

będzie zwycięskim premierem, nie mówiąc już o innych kluczowych stanowiskach w państwie, czyli Zgromadzeniu Narodowym, jak też rządzie.

Krzaklewski, przypomnijmy to, jeszcze przed wyborami zapowiadał, że ujawni "gabinet cieni", czego oczywiście nie zrobił, choć powinien, skoro już to zapowiedział. Pół biedy co było przed wyborami, ale cała "szopa" zaczęła się dopiero po wyborach. Rada Koordynacyjna AWS, reprezentująca "pospolite ruszenie", faktycznie nie miała nic do powiedzenia, gdyż Krzaklewski zaczął jednoosobowo podejmować decyzje, a jeśli już nie on, to jego zastępca, Janusz Tomaszewski, szef łódzkiej "Solidarności".

W tym miejscu chciałbym też przypomnieć, że "Solidarność", organizując pospolite ruszenie, wytargowała dla siebie pozycję jednej jego połowy, a reszcie pozostawił drugą, z zachowaniem przywództwa nad całością.

Wyborcy jednakże zdecydowali inaczej. Mimo, że związkowcy mieli bardzo widocz-

dą dogładani przez "polityków", w tym konkretnym przypadku przez klub AWS w Sejmie. Jeszcze innym "dogładającym" mogłaby być zapowiedziana partia chrześcijańsko-demokratyczna, Ruch Społeczny AWS, do której Krzaklewski jeszcze przed wyborami nawet wstąpił jako jej pierwszy członek, ale raptem o sprawie głucho. Partii jak nie było tak nadal nie ma, a tymczasem Lech Wałęsa, jak zawsze obecny wszędzie tam "gdzie trzeba" zdążył zarejestrować nową partię - Chrześcijańską Demokrację Trzeciej Rzeczypospolitej, na czele której stanął osobiście, ewidentna dywersja.

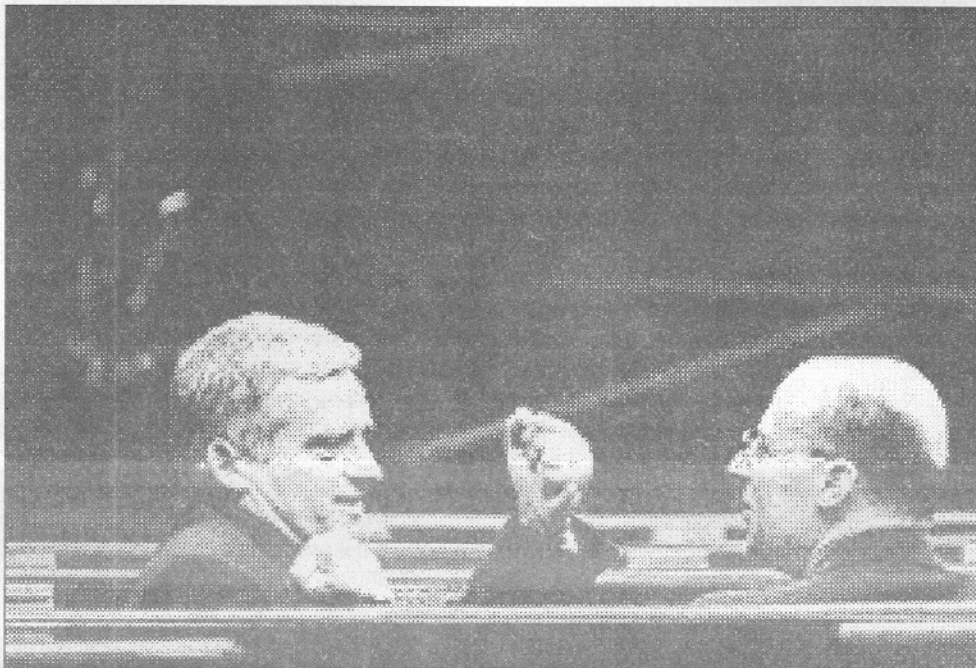
Rząd, choć zawsze powinien być "rządem fachowców", jest przede wszystkim rządem "politycznym" i nie wiadomo dlaczego Krzaklewski rozpoczyna eksperyment nieznanym w świecie. Sam z własnej woli, czy też ktoś mu to "podpowiedział", i kto mianowicie?

Wybór przez AWS kandydata na premiera, to też historia sama w sobie, zagadkowa i niepokojąca.

Za kandydaturą Jerzego Buzka na spotkaniu AWS padło 157 głosów, 8 było wstrzymujących się, wśród nich Barbara Frączek, siostra Krzaklewskiego, rzecz sama w sobie zastanawiająca.

A ile osób nie wzięło udziału w głosowaniu i dlaczego? Jeśli głosowanie przeprowadzono w klubie poselskim AWS, to wraz ze wstrzymującymi się od głosu aż 22 procent jego stanu z takich czy innych względów Buzka nie poparło. Brak dyscypliny wewnętrznej AWS, czy może jakiś inny powód? Dziś nie ma już sensu powtarzać jacy osobnicy byli kandydatami na premiera, ale sam Krzaklewski powiedział, że spośród dwóch kontestatorów, profesorów Andrzeja Wiszniewskiego i Jerzego Buzka, on był za tym drugim, choć najchętniej poparłby jeszcze kogoś innego, ale nazwiska swojego faworyta nie ujawnił...

Tego rodzaju "zagrywka" Krzaklewskiego, jedna z dłuższej serii, prowadzi do wielu



gdyż inaczej mogą być kłopoty...

"Zwycięzcy", o czym też należy przypomnieć, obrysowali pokonanych "grubą kreską" i w te pędy, zgodnie z suflerowanymi instrukcjami, wzięli się za bary sami ze sobą. W ruch poszły "wojny na górze", "siekiery", "kopanie w zadek", nie mówiąc już o wzajemnie szafowanych epitetach, w rezultacie czego szef "Solidarności" wykończył solidarnościowego premiera, a potem jeszcze, już jako prezydent, wykończył jeszcze dwóch innych solidarnościowych premierów.

Klub poselski "Solidarności" z kolei wykończył solidarnościowy rząd i w efekcie tego jej przedstawiciele zostali przez wyborców odrzuceni i do Sejmu w wyborach 1993 nie weszli. Nie mówiąc już o tym, że z łona "Solidarności" wyszło szereg partii i innych tworów organizacyjnych, które nie tylko rozmyły ją, ale także skłóciły wewnętrznie. Ukoronowaniem tego była porażka wyborcza Lecha Wałęsy, symbolu "Solidarności", który przegrał powtórny bieg do prezydentury z "komuchem" Aleksandrem Kwaśniewskim.

Historia jednak powtarza się czasem i oto ta sama "Solidarność", której prawdziwej genezy nie znamy do dzisiaj, podniosła się z upadku, skrzyknęła wojów wszelkiej maści pod swoje sztandary, albo ktoś inny im to podszeptał no i szturm na twierdzą, już teraz nie "komuny", ale "postkomuny", podjęto od nowa.

Wśród wielu analogii szturm i zdobycia twierdzy, jedna rzuca się szczególnie w oczy.

Chodzi mianowicie o przywódców szturm.

Za pierwszym razem, w 1989 r. i w pierwszych miesiącach 1990 r., prowadzący natarcie, przywódca "Solidarności", sam po władzę w państwie i rządzie ręki nie wyciągał. Lech Wałęsa miał pozostać tylko związkowym przywódcą i niczym więcej, identycznie jak obecnie Marian Krzaklewski.

No dobrze, ten pierwszy mógł sobie jeszcze na to pozwolić, gdyż czasy na oko były inne, a ponadto nie było doświadczenia jak brać władzę (zakładając, że była do wzięcia).

Dlaczego teraz sytuacja powtarza się?



Premier Jerzy Buzek z posłem Czesławem Bieleckim

w Polsce, obecnie myślę, iż mógł być kiedyś jeszcze popularniejszy, ale teraz, już po wyborach, popularność jego poważnie spadła.

Odnosnie niedawnej przeszłości, to w zachowaniu Krzaklewskiego dały się zauważyć dość niezrozumiałe zagrywki, które najprawdopodobniej wpłynęły na mniejsze poparcie udzielone w wyborach AWS, choć i tak było ono wysokie.

Konkretnie mówiąc, wiosną b.r., przy okazji dyskusji o projekcie Konstytucji, Krzaklewski rozpoczął kampanię na rzecz... intronizacji Chrystusa, czyli mianował Go królem Polski!

Jak Krzaklewski wyobrażał sobie coś takiego w praktyce i kto mu to podpowiedział? Przecież nie Episkopat, który zdecydowanie odciął się od tego bzdurnego pomysłu!

Stąd też nie wiem czy w swoim katowickim okręgu wyborczym Krzaklewski nie oberwał za to, gdyż pobił go na łeb i na szyję nie tylko Leszek Bałcerowicz, przywódca UW, ale także względnie mało znana w kraju Barbara Blida z SLD.

Po wyborach, czyli wtargnięciu do twierdzy, zdobywcy zachowali się w taki sposób, jakiego nie odnotowały jeszcze kroniki podobnych wydarzeń.

Lud, który głosował na AWS, w żaden sposób nie mógł się bowiem dowiedzieć kto

ne miejsca na listach AWS, to jednakże wyborcy ich wycięli na rzecz "polityków", w rezultacie czego tych ostatnich jest teraz wśród posłów klubu trzy czwarte, a tych pierwszych tylko jedna czwarta.

W tej sytuacji wodzowanie AWS przez "Solidarność" jest co najmniej dowodem braku skromności, nie mówiąc już, że niemożliwe na dłuższą metę.

Nie to jest jednak najważniejsze. Krzaklewski i "Solidarność", powracając do tematu, z tworzenia rządu, co przypadło w udziale AWS, zrobili tak wielką tajemnicę, że odnosiło się wrażenie, iż wróciły czasy Polski Podziemnej, tej z czasów II wojny światowej, a nie tej z czasów "stanu wojennego" i potem, gdyż o tym drugim "podziemiu" nie można przecież mówić poważnie.

Tego rodzaju potraktowanie swojego własnego elektoratu, jak też narodu polskiego w ogóle, a nawet zagranicy, która uważnie przygląda się rozwojowi sytuacji w Polsce - nie jest przypadkiem. Gdyby jeszcze coś takiego przydarzyło się Lechowi Wałęsie, "doktorowi od krzyżówek gazetowych", to co innego, ale Krzaklewskiemu, prawdziwemu doktorowi nauk ścisłych, wręcz nie przystoi stosowanie podobnych praktyk!

Bzdurna była też na początku teza, że rząd ma składać się z fachowców, którzy be-

nętrnej AWS, czy może jakiś inny powód? Dziś nie ma już sensu powtarzać jacy osobnicy byli kandydatami na premiera, ale sam Krzaklewski powiedział, że spośród dwóch kontestatorów, profesorów Andrzeja Wiszniewskiego i Jerzego Buzka, on był za tym drugim, choć najchętniej poparłby jeszcze kogoś innego, ale nazwiska swojego faworyta nie ujawnił...

Tego rodzaju "zagrywka" Krzaklewskiego, jedna z dłuższej serii, prowadzi do wielu smutnych wniosków. Albo Krzaklewskiemu brak jest elementarnej oglądy i manier, lub wyrobienia politycznego, albo wreszcie prowadzi jakąś przedziwną grę, której koniec może być tylko jeden - klęska AWS w niedalekiej przyszłości.

Jerzy Buzek, 57-letni chemik, mimo dziesiątków lat pracy naukowej profesora nadzwyczajnego dopiero od czerwca b.r., jest posłem co prawda, ale z tzw. listy krajowej, a nie lokalnej, gdyż w swoim katowickim okręgu w wyborach nie przeszedł (otrzymał tylko 1,5 tys. głosów).

Dlaczego jednak, osobę w końcu bardzo niepopularną w swoim środowisku wyborczym, jak też praktycznie nieznaną w skali krajowej, AWS, albo raczej sam Krzaklewski, zaproponował na premiera i na czyje polecenie?

Co do mnie, to z dużą uwagą przeczytałem wywiad Buzka dla "Życia Warszawy" z 16 października i twierdzą, że jest to wyjątkowy bełkot. Kiedyś już czytałem, że Buzek był koordynatorem gospodarczego programu wyborczego AWS i teraz rozumiem dlaczego program ten też był podobnym bełkotem. Nie chodzi nawet o cele programu, gdyż wszystkie programy wyborcze, albo raczej "kiełbasa wyborcza", są niepoważne, ale ten sam AWS był szczególnie niepoważny od strony braku wskazania dróg realizowania stawianych sobie celów. Może więc jakieś inne względy przeważyły na rzecz wytypowania na premiera właśnie chemika, bez wiadomego doświadczenia w biurokracji rządowej w ogóle?